Trzy historie. Trzy traumy. Jedna noc.



# TRÓJKĄT ORIONA

SEBASTIAN IMIELSKI

# TRÓJKĄT ORIONA

# TRÓJKĄT ORIONA

SEBASTIAN IMIELSKI

Autor: Sebastian Imielski
Tytuł: Trójkąt oriona

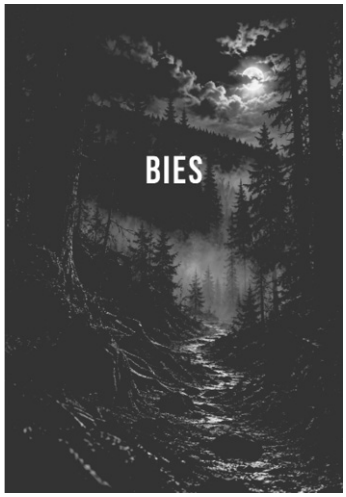
Redakcja: Joanna Łukowska, Angelika Kuszła
Korekta: Maciej Ślużyński, Monika Całka
Korekta ii: Sylwia Dziemińska

Skład i łamanie tekstu: Mariusz Jurgiel
Wersje elektroniczne i
Opracowanie graficzne okładki: motywprzewodni.pl

Copyright © Sebastian Imielski, 2026
Copyright © Chemia Mózgu, 2026
2026 Wydanie i

ISBN druk 978-83-980402-3-5
ISBN epub 978-83-980402-4-2
ISBN mobi 978-83-980402-6-6
ISBN pdf 978-83-980402-5-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za pisemną zgodą autora.


BIES

# 1

Krew była ciepła. Oblepiała ręce, koszulkę i spodnie. Gdyby nie jej specyficzna konsystencja i drażniący metaliczny zapach, wmawiałbym sobie, iż tkwię w smolistej mazi sennego koszmaru i zaraz, za chwileczkę, wyrwę z niej nogi, by przedrzeć się do realnego świata. W ciągu ostatnich godzin, gdy udawało się nam ukryć i złapać choć chwilę oddechu, podejmowałem desperackie próby wybudzenia się. Wzywałem przy tym wszystkich bogów, w których nigdy nie wierzyłem, zaklinając ich, by okazali miłosierdzie nędznikowi w chwili próby.

Bezskutecznie.

Ułuda snu okazała się wątła. W końcu przestałem się oszukiwać. Choć to, co przeżyliśmy, wymykało się logice umysłu przeciętnego człowieka, było prawdziwe. Jak burza, las, zapach krwi i mokrych drzew. I ta woń. Ten paskudny, odrażający odór strachu. Taplaliśmy się w nim, walcząc o życie.

***

Nim bieszczadzka głusza nas osaczyła, podejmując próbę zgładzenia, na drodze ku katastrofie pojawiały się sygnały ostrzegawcze. Pierwszym z nich był widok Papaja. Nie wiem, jaka siła chciała mnie przestrzec

i na jakiej podstawie uznała, że właściwie odczytam jej intencje, ale kilkadziesiąt godzin później, moknąc w ciemnym lesie, miałem pewność, że nie zobaczyłem go tam przypadkowo.

Papaj był równie wysoki jak w szkole średniej i, co trudne do wyobrażenia, jeszcze szerszy. Łysina zastąpiła jego niegdyś krótko przystrzyżone włosy, a kwadratowa głowa z mocno zarysowaną szczęką bardziej pasowała do bohatera komiksów niż do żywego człowieka. Dlatego mimo upływu trzydziestu lat od razu go poznałem. No i te ponadprzeciętnie długie ręce. W szkole podśmiewali się z nich tylko najodważniejsi. Teraz Papaj miał zniszczoną, naznaczoną bruzdami twarz i oczy trupa. Znajome, zimne bryły, które śniły mi się przez lata z paskudną regularnością.

Czy mnie rozpoznał? Wątpię. Na pewno nie wypełniał swego śmietnika ze wspomnieniami płotkami takimi jak ja. Chuchro w dużych, okrągłych okularach, z grzywką opadającą na czoło, trzy dekady temu stanowiło łatwy cel i było przedmiotem sadystycznej rozrywki. Na moje szczęście szybko się nudził ofiarami. Nie było szans, by mnie pamiętał. Zmieniłem się od czasów szkoły. Nabrałem masy, choć niestety nie mięśniowej, a okulary zastąpiły soczewki kontaktowe. Dziś też nie byłbym dla niego godnym przeciwnikiem.

Jaka cholerna, mroczna siła zesłała go tego lata do Ustrzyk Dolnych? I kto przy zdrowych zmysłach powierzył mu stoisko z regionalnym rękodziełem? A może sam je tworzył? Może przeniósł się na drugi koniec Polski i zresocjalizował?

Na pewno siedział w więzieniu. Trafił za kraty, gdy jeszcze chodziliśmy do gdańskiego technikum, choć w jego przypadku „chodzenie" było sformułowaniem umownym. Napadł kogoś albo pobił. Nie pamiętałem dokładnie. W każdym razie zniknął na dobre ku uciesze wszystkich. A teraz objawił się z papierosem w ustach, siedząc na drewnianym krzesełku wśród figurek przedstawiających bieszczadzkie czady.

Dlaczego akurat tutaj?

– Tato? – Głos Zosi przebił się przez brunatne wspomnienia. Córka stała przy straganie z upominkami kilka stoisk od kramu Papaja. Znajdowaliśmy się w centralnej części Ustrzyk Dolnych, na typowym kiermaszu zorganizowanym pod przyjezdnych. – Wezmę magnesy dla mamy i babci – oznajmiła.

Podszedłem do niej, próbując się uspokoić. Wkurzał mnie nagły atak szkolnej traumy.

Kurwa, minęło trzydzieści lat. Olej go. Nie jesteś już nastolatkiem. Zniszczony dziad ma za swoje. Król życia i śmierci sprzedaje figurki na prowincjonalnym straganie. To śmieć, powtarzałem jak mantrę.

Wykonałem trzy głębokie oddechy. Zosia podała mi kolorową wytłoczkę z magnesem.

– Świetne. Weźmy je – zdecydowałem, obracając w ręce typową turystyczną pamiątkę.

Obrazek przedstawiał lasy i wzgórza Bieszczadów. Podobał mi się, lecz zakup był bezcelowy. Majka nie pozwoli zepsuć sterylnej aranżacji swojej kuchni pierdołami ze straganu przyczepianymi do lodówki. Miała na tym punkcie świra, jeszcze gdy byliśmy małżeństwem. Wiedząc to, powinienem przystopować córkę, jednak wyobrażenie skwaszonej miny byłej żony wypełniło mnie złośliwą satysfakcją.

– Ala, a ty? – zwróciłem się do jedenastolatki stojącej obok Zosi. Przyjaciółka córki potwierdziła chęć zakupu i wybrała dwa podobne magnesy. Zapłaciłem za nie.

– Tato, przyjdziemy tu jeszcze? W piątek ma być więcej stoisk.

– Przed wyjazdem – zapewniłem, choć oglądanie dawnego prześladowcy było ostatnim, na co miałem ochotę. Niemniej dziewczyny nie musiały rezygnować z kiermaszu tylko dlatego, że bałem się spotkać dawnego prześladowcę.

Tym razem ci się nie dam, gnoju, powtarzałem w myślach. Miałem dość tego miejsca.

– Chodźmy coś zjeść. – Rzucając tę propozycję, stałem tyłem do straganu Papaja i nie odważyłem się odwrócić.

***

Wyjazd w Bieszczady zaplanowałem zimą. Wakacje z córką przypadały na końcówkę sierpnia i postanowiłem tym razem nie dać ciała. W ubiegłym roku złamałem rękę i młoda zamiast wypadu do Zakopanego wynudziła się ze mną w Pruszczu. Gdyby skończyło się na ręce, mógłbym jeszcze jakoś funkcjonować, ale miałem też dwa pęknięte żebra, a ból mnie obezwładniał. Mogłem liczyć na pomoc siostry i mamy, więc katastrofy nie było, ale wspólne wakacje nam przeleciały. Nie ominęła mnie natomiast awantura z Majką. Była żona wyraźnie żałowała, że nie przetrąciłem sobie karku.

– Mogła jechać z nami do Chorwacji zamiast kisić się w tym burdelu – rzuciła do mnie wściekła, odbierając Zośkę. Moja więź z córką ewidentnie niszczyła jej plan zintegrowania dziewczynki z rodziną fagasa.

„Pierdol się" – chciałem powiedzieć, ale nie odważyłem się wypowiedzieć tego na głos. Byłem na łasce jej humorów i nienawidziłem tego. Obydwoje wiedzieliśmy, że jeśli nie chcę stracić dziecka, muszę trzymać gębę na kłódkę. Obserwując zastygłą niechęć na twarzy Majki, zastanawiałem się, jak mogło dojść między nami do takiej wrogości.

„Jak? To ty, kurwa, nie wiesz?".

W Bieszczadach miało być inaczej. Te góry przywodziły na myśl opowieści babci i ciepłe wspomnienia z młodości. Poza tym pobyt tu był znacznie tańszy niż w Zakopanem, a finanse miały dla mnie znaczenie. Znalazłem urokliwą i przystępną cenowo agroturystykę pod Ustrzykami Górnymi. Jedyne, czego nie planowałem, to zabranie pod opiekę dwóch dziewczyn zamiast jednej. Córka bardzo mnie o to prosiła, więc się zgodziłem. Znałem Alę i jej rodziców, dziewczyny kumplowały się od trzeciej klasy i doszedłem do wniosku, że w towarzystwie będzie Zośce raźniej, a mnie odpadnie zadanie zapełniania jej dnia. Potrafiły zająć się same sobą. Poza tym Majka liczyła, że wymięknę, więc musiałem ją zawieść.

– Andczakowa nie wie o chlańsku, więc uważaj – przestrzegła mnie, gdy wyszło na jaw, że jednak zabieram Alicję. – Właściwie powinna wiedzieć. Oddaje ci dziecko pod opiekę.

– To jej powiedz – odbiłem piłeczkę. – A potem wytłumacz Zośce, dlaczego uziemiłaś jej koleżankę.

– Boże, jak ty mnie wkurzasz…

To musiała być prawda. Z drugiej strony nie powierzyłaby mi dziecka bez wiary w to, że jestem czysty. Nie tknąłem alkoholu od… No właśnie, wszyscy myśleli, że od dwudziestu ośmiu miesięcy. I niech tak zostanie, pomyślałem.

***

Obfity deszcz nawiedził nas w nocy. Zajmowaliśmy dwa pokoje na piętrze. Dziewczyny chrapały zamknięte w swoim lokum. Nabierały sił przed czekającym nas wyjściem na szlak. Ja nie mogłem zasnąć. Na szczęście opad przydusił parne powietrze i w końcu dało się spokojnie oddychać. Podszedłem do otwartego okna, by zaczerpnąć chłodnego, wilgotnego powietrza pachnącego drzewami i przymknąłem oczy. Wtedy wróciło wspomnienie, które próbowałem wyprzeć. Ubikacja, rechot, upokorzenie i śmiertelny strach. Kwadratowa twarz wykrzywiona uśmiechem i wielka łapa ściskająca moje policzki.

„Na kolana, pizdo! Jesteś moim lachociągiem. Rozumiesz? Rozumiesz, kurwo czterooka? Chcesz mi obciągnąć? Co się, kurwa, gapisz? Gadaj! *Chcę ci zrobić lachę*. Gadaj, kurwo!”.

Gdy otworzyłem oczy, Papaj patrzył na mnie z dołu. Obserwował. W mroku dostrzegłem tylko niewyraźny zarys postaci, ale wiedziałem, że to on. Był wielki i przypominał goryla.

Jednak mnie poznał. I odnalazł. Czego chciał?

Przeszedł kilka kroków, następnie zniknął za drzewami.

Stałem sparaliżowany. Trząsłem się. Czując wilgoć na stopach, spojrzałem w dół. Pod moimi nogami rozrastała się plama moczu.

# 2

Gospodarz przygotował śniadanie, które ze smakiem pochłonęliśmy, wiedząc, że czeka nas kilka godzin intensywnego marszu, w tym około dwóch pod górę. Z pensjonatu wyruszyliśmy o dziewiątej. Wybrałem dla nas szlak na Wielką Rawkę. Szczyt wznosił się na wysokość około tysiąca trzystu metrów nad poziomem morza i przyciągał rozległą panoramą Bieszczadów. Trasa była nieskomplikowana i chętnie uczęszczana. Polecano ją średnio zaawansowanym turystom. Mój wybór miał też drugie dno. Nostalgiczne. Naszło mnie na wspomnienia z młodości. W latach dziewięćdziesiątych zdobywałem Rawkę z ówczesną dziewczyną, Karoliną. Byłem wtedy na drugim roku politechniki; ona studiowała pedagogikę. Strasznie się kochaliśmy. Chyba zapragnąłem odnaleźć mikroślady tego uczucia pośród rosłych drzew i śliskich kamieni.

Samochód zostawiliśmy na parkingu przed szlakiem. Dziewczyny wydawały się podekscytowane. Słońce stało wysoko, temperatura oscylowała w okolicach dwudziestu pięciu stopni. Idealne warunki.

– Ze szczytu zrobię relację na Fejsa.

Ala od razu podchwyciła:

– A ja na TikToka.

– Idziemy niebieskim szlakiem – obwieściłem. – Zapamiętajcie kolor, na wypadek, gdyby któraś się zgubiła.

Nie spodziewałem się kłopotów. Bieszczady to nie Andy. Wejście na szczyt brzmiało dumnie, ale w rzeczywistości czekał nas ponadprzeciętnie męczący spacer. Bardziej niż o ich formę obawiałem się o swoją. Studenckie czasy były już odległym wspomnieniem. Obecnymi realiami była niewielka, acz przejawiająca się odstającym brzuchem nadwaga. Na co dzień nie należałem do aktywnych spacerowiczów, co kazało mi przewidywać częste przystanki.

Dasz radę, dodawałem sobie otuchy. Niech ta wyprawa będzie dla nich fajną przygodą.

I znów wyobrażenie wykrzywionej miny Majki na widok filmików córki w internecie dodało mi sił. Dlaczego motywowały mnie głównie negatywne emocje?

Zarzuciłem na ramiona wyciągnięty z bagażnika plecak z kanapkami i wodą. Dziewczyny miały swoje, mniejsze. Rozglądnąłem się z niepokojem po parkingu.

Daj spokój. Zostaw to, mówiłem do siebie w myślach.

Wspomnienie nocy, choć przyćmione, nie przygasło całkowicie. Rankiem dokonałem oczyszczającej sesji.

Papaj nie krążył pod naszym pensjonacikiem, a to, co widziałem, musiało być cieniem padającym z drzew lub wysokich krzewów. Widok dawnego prześladowcy na kiermaszu wywołał ciężkie wspomnienia, stąd to rozedrganie. Łeb mi zafalował, ale już jest dobrze. Nie zniszczę tego wypadu. Wysiłek fizyczny dobrze mi zrobi. W piątek wrócę przed stragan Papaja i spojrzę gnojowi w trupie oczy. Nie spuszczę wzroku i skończymy to raz na zawsze.

– Tato! Idziemy?

Minęliśmy drewnianą tabliczkę i niebieskie oznaczenia szlaku. Kilkanaście kroków i parking był niewidoczny. Minęła dziewiąta trzydzieści. Weszliśmy w las.

***

Zmierzaliśmy niezbyt stromym podejściem wzdłuż strumienia. Oplatała nas cisza, jeśli nie liczyć odgłosów natury. Czułem się na tyle dobrze, by parsknąć pod nosem na wspomnienie nocnego paraliżu. Na szczęście nikt nie wiedział o wstydliwym incydencie z moczem. Takie wpadki przytrafiały mi się tylko po wódzie i to dość dawno.

Po kilku minutach weszliśmy na wyłożony kamieniami trakt. Teren był nadal dość płaski, szło się przyjemnie. Dziewczyny wyprzedzały mnie o kilka metrów. Wtedy wybrzmiał kolejny sygnał ostrzegawczy. Po dwudziestu minutach rytmicznego marszu usłyszałem głosy. Ktoś szedł szlakiem. Właściwie grupa ludzi. Śmiali się i krzyczeli. Po głosach sądziłem, że to młodzi ludzie, co potwierdziło się po paru minutach. Kilku nastolatków zataczało się, rechocząc głośno. Byli pijani, wystarczył rzut okiem. Jeden się przewrócił. Drugi nieudolnie próbował pomóc mu wstać. Mogli mieć siedemnaście, może osiemnaście lat. Naliczyłem sześć osób. Szli w stronę parkingu. Pomyślałem, że musieli wyjść w trasę bardzo wcześnie, skoro już wracali, szybko jednak zreflektowałem się, iż najprawdopodobniej w ogóle na szczyt nie dotarli. Schlali się już zapewne w jednej trzeciej drogi. Dziewczyny patrzyły na nich ze wstrętem i obawą, ale mnie nie wydawali się groźni. Ot, grupka półgłówków, która nie znając swoich możliwości, narąbała się w lesie. Zachłyśnięci wolnością byli jak szczeniaczki, którym udało się wejść do spiżarni z przysmakami. Im bliżej byliśmy, tym żałośniej wyglądali. Gdy przechodziłem obok gościa z długimi włosami spiętymi w kucyk, ten coś do mnie wybełkotał.

– Wracajcie do domu, chłopaki, bo wyglądacie jak kupa gówna – rzekłem spokojnie.

Zosia się zaśmiała.

– Mam nadzieję, że nie przyjechaliście autem – dodałem.

– Pociągiem! – wrzasnął chudy piegowaty, a reszta ryknęła śmiechem, nad którym nie potrafiła zapanować. To mnie przekonało, że na ich leśnej imprezie nie alkohol był głównym daniem.

– To znakomicie. – Machnąłem na nich ręką, wiedząc, że rozmowa nie ma najmniejszego sensu. Za parę godzin będą żałować każdego wypitego łyka.

Jakże dobrze znałem poranne kace połączone z pragnieniem klina. W czasie małżeństwa jeszcze się jakoś pilnowałem, lecz podczas separacji totalnie popuściłem lejce. Świat mi odpłynął na fali czterdziestu procent. Gdyby tylko wiedzieli, do czego to może doprowadzić, nie tknęliby tego świństwa.

– Idziemy. Widzę podejście – skierowałem uwagę na to, co przed nami.

Zosia i Ala, zaciekawione widoczną przeszkodą, straciły zainteresowanie pijanymi cielakami. Górka zwiastowała wyzwanie dla organizmu. Na szczęście ustawiono tam drewniane poręcze. Minęliśmy jeszcze jednego oderwanego od stada rzygającego nieszczęśnika i rozpoczęliśmy trudniejszą część wyprawy.

***

Nie potrafię odczytywać znaków opatrzności. Może dlatego, że nie wierzę w opowieści o wyznaczonych ścieżkach i red flagach, które uważnemu umysłowi pomagają uniknąć kłopotów. Czy gdybym, wspinając się na Rawkę, mocniej skupił się na analizie przypadków niż na łapaniu oddechu, uniknąłbym rzezi? Nie jestem przekonany. Co miałem zrobić? Zapowiedzieć dziewczynom powrót, bo posikałem się na widok szkolnego zbira i skrzywiłem, mijając pijaną młodzież? Tak naprawdę takie rzeczy dostrzega się po czasie, gdy jest już za późno.

W Papaju radioaktywne było wszystko. Postać, skojarzenie, ksywa, cokolwiek wskazującego na jego osobę. Gdy rok temu Antek Waldkowski przyniósł do roboty komiks z Papajem, zastygłem. Rysunkowy marynarz zaraz wbił mi się do głowy i przeobraził w koszmar ze szkoły. Dwa dni nie spałem. Byłem wycieńczony i w końcu się napiłem. Po przeszło roku od drugiego odwyku – tym razem, jak mi się wydawało, udanego – sięgnąłem po alkohol. Potem poszło. Nie uchlewałem się, nie miałem ciągów, utrzymywałem jednak stały poziom znieczulenia. Tak było do czasu, aż

malując sufit, spadłem z drabiny i złamałem rękę oraz żebra. Szef po wszystkim zorientował się, że byłem na fleku, ale siedział cicho w obawie o reputację firmy i konsekwencje prawne. Od kilku miesięcy pracowałem u niego przy wykończeniówce i raczej był ze mnie zadowolony. Po wypadku zgodziłem się na ciche odejście, a on obiecał nie robić problemów przy ubieganiu się o kasę z ubezpieczenia. Rozeszło się po kościach. Głównie moich. Papaj znów był górą. Nieważne: rysunkowy czy prawdziwy.

Sam wypadek był jednak wybawieniem. Gdyby nie on, płynąłbym dalej na mocnej fali, co na pewno skończyłoby się ograniczeniem praw rodzicielskich. Warunki Majki i sądu były jasne. Odwyk i abstynencja. Wiedząc o wpadce, wykorzystałaby ją z pełną bezwzględnością. Pewnie gdyby wydarzyło się to kilka miesięcy wcześniej, połapałaby się w pokrętności tłumaczeń. Na szczęście moje dobre prowadzenie uśpiło jej czujność.

„Wypierdalaj stąd, gnoju" – to wycie wracało do mnie we snach. Jej histeryczny krzyk, gdy znalazła mnie osikanego w łóżku Zosi, będzie wybrzmiewać w głowie do końca moich dni. Wtedy to był koniec małżeństwa. Gdyby dowiedziała się o piciu i wypadku, mogłoby to oznaczać koniec rodzicielstwa. A przynajmniej jego mocne ograniczenie. To podziałało na mnie niczym strzał mokrą szmatą w ryj i postawiło na nogi.

„Spróbuj to spieprzyć, a przysięgam, że już jej nie zobaczysz".

„Jesteś moją pedalską dziwką, rozumiesz?".

„Teraz wszystko zależy ode mnie i od sądu. Nie masz nic do gadania".

„Na kolana, lachociągu. Będziesz kurwą na posyłki".

„Paweł i ja tworzymy jej rodzinę. Prawdziwą rodzinę".

„Liż buty, szmato, bo ci przerobię ryj w papę z gówna".

Znaki. Powinienem odczytać znaki. Najpierw Papaj, potem poranne pijaństwo. Dwa elementy, które doprowadziły moje życie do krawędzi. Jeśli stawały mi na drodze w krótkich odstępach, musiały zapowiadać katastrofę. Jakby coś wyło: „Nie idź na ten szczyt!".

Głupiec. Zorientowałem się, mając ręce po łokcie we krwi, bez nadziei na przeżycie.

***

Minęła godzina, a ja spływałem potem. Powiedzieć, że miałem słabą formę, to nic nie powiedzieć. Dyszałem jak parowóz, a przecież najcięższe było dopiero przed nami. Dziewczyny radziły sobie znacznie lepiej i wykazywały zrozumienie, gdy zmuszony byłem robić kolejne przystanki. Woda znikała w moim przełyku i miałem wrażenie, że natychmiast tryska porami.

– Hej, zobaczcie! – Ala zboczyła nieco ze szlaku i podniosła coś ze ściółki. – Telefon.

– Pokaż – wydyszałem, wyciągając ku niej rękę.

Podała mi aparat. Nie wyglądał na drogi model. Przeciągnąłem kciukiem po płaskiej powierzchni, co spowodowało wyświetlenie cyferblatu. Można było też odblokować ekran odciskiem palca.

– Właściciel pewnie zadzwoni – rzekłem. – Prawdopodobnie nawet nie wie o zgubie. Mógł mu wypaść podczas odpoczynku. Poczekamy, aż ktoś się odezwie.

Niewykluczone, że to komórka jednego z pijackiej trupy rozrabiackiej, pomyślałem. Powinien się spieszyć, ikonka wskazywała trzydzieści procent zasobu baterii.

Schowałem telefon do plecaka.

– W drogę, ekipo!

Córka z koleżanką ruszyły żwawo. Ja toczyłem się ich śladem. W pewnej chwili jęknąłem. Przed nami rozciągało się kolejne wyłożone kamieniami podejście.

Zakładałem, że dotrzemy na Wielką Rawkę w dwie godziny. Te jednak minęły dość szybko, a my mieliśmy przed sobą jeszcze spory kawałek. Niestety byłem głównym opóźniającym.

– Skończyło się picie – skwitowałem, medytując nad pustą butelką wody.

– Weź ode mnie. – Zośka wyjęła swoją z plecaka. Opróżniła dopiero połowę. Jak ona to robi?

– Tylko mały łyczek – zapewniłem.

Szlak się zapełnił. Mijali nas zarówno ludzie idący pod górę, jak i w dół. Pozdrowienie „cześć" lub „dzień dobry" było standardem. W pewnym momencie wyprzedziła nas młoda kobieta.

– Cześć – rzuciła z uroczym uśmiechem na ustach.

Oniemiałem. Nagłe wspomnienie uderzyło we mnie z siłą bokserskiego ciosu. Jej twarz była znajoma. Jakbym zobaczył Karolinę. To niemożliwe. Szybko ochłonąłem. Mijająca nas kobieta miała dwadzieścia parę lat. Karolina dziś byłaby w moim wieku, czyli w okolicach pięćdziesiątki. Nie widzieliśmy się od jakichś dwudziestu lat.

Chciałeś nostalgicznej podróży? To masz! – szydziłem z siebie w myślach. To było nawet zabawne. Przegrany facet tak bardzo chce odnaleźć klimat dawnej miłości, że widzi ją w pierwszej napotkanej kobiecie pasującej do wzorca. Żałosne.

Postanowiłem wziąć się w garść. Więcej takich atrakcji jak Papaj oraz złudzenie Karoliny i się wykończę.

Po kilkunastu minutach wyszliśmy z lasu. To zwiastowało końcówkę trasy. Prosty odcinek na otwartej przestrzeni pozwolił mi wyrównać oddech.

– Nagrywacie? – spytałem, licząc na ciekawe relacje, które zagotują Majce krew.

– Ja już wrzuciłam na fejsbuka. – Zośka była wyraźnie szczęśliwa.

– Ja też, ale resztę zmontuję po powrocie.

– Świetnie. Może wspólna fotka? – zaproponowałem, licząc, że i ona trafi na profil córki.

– Jasne, tato. Zrobię selfika z wami w tle.

– Tylko uchwyć góry – zaznaczyłem.

Ta sesja napełniła mnie siłami. Piękna pogoda, góry, udana wycieczka z córką. Wszystko się jakoś ułoży. Humoru nie zniszczył mi nawet widok kolejnego stromego podejścia. Na szczęście wijące się w górę kamienne schody miały drewniane poręcze. Końcówka, pomyślałem. Jakoś się wtoczę.

Zośka z Alą pomknęły do przodu. Ja wspinałem się mozolnie. Po krótkim czasie znów zobaczyłem tę dziewczynę. Siedziała na kamieniu wciśnięta w linę odgradzającą szlak od unikalnej bieszczadzkiej roślinności. Miała zdjęty lewy but. Zastanawiałem się, czy coś powiedzieć. Szedłem powoli, pokonując kolejne stopnie. Może coś jej wpadło do obuwia? Albo po prostu odpoczywa. Uniosłem wzrok. Masowała kostkę. Cokolwiek by nie sądzić o moich durnych wspominkach, ona naprawdę przypominała Karolinę w młodości.

W końcu zbliżyłem się na tyle, by wydać z siebie dźwięk. Byłem spocony i zziajany.

– Jakieś kłopoty? – starałem się, by głos mi nie drżał. – Może pomóc?

Jej twarz rozpromieniała się uśmiechem, choć wcześniej przemknął przez nią grymas bólu.

– Poślizgnęłam się – powiedziała z nutą rezygnacji w głosie. – Chyba skręciłam kostkę. Cholera jasna. Przed samym szczytem.

– Pomogę pani – zaoferowałem.

Nastała niewygodna cisza. W tym momencie minęła nas para starszych turystów. Z zazdrością odnotowałem, jak sprawnie i energicznie pokonywali kolejne przeszkody.

– Wie pan co? Skorzystam. – Usłyszałem ku swemu zaskoczeniu. – Doczłapię na tę Rawkę. To kilkadziesiąt metrów. Najwyżej się o pana oprę.

– Jasne. Służę ramieniem.

Oblałem się pąsem. Chyba. Tak się przynajmniej czułem. Niczym licealista, do którego mrugnęła najładniejsza koleżanka w klasie. Uczucie zarazem przyjemne i głupie. Dla niej byłem po prostu gościem w średnim wieku, który nie potrafi ukryć ekscytacji, ale może być pomocny. Zdawała sobie sprawę, jak działa na facetów. One zawsze wiedzą. Mimo wszystko chciałem się zanurzyć w tym beztroskim, niewinnym zauroczeniu.

↓ ↓ ↓




**POLECAMY RÓWNIEŻ**

Posada w Zespole Szkół w Sławinie jest dla Sylwestra Cichego szansą na nowy początek po osobistych niepowodzeniach. Młody nauczyciel szybko się przekonuje, że życie na kaszubskiej prowincji dalekie jest od sielanki.

Szkoła zarządzana surową ręką przez małżeństwo Mechów skrywa wiele tajemnic. Gdy w niewyjaśnionych okolicznościach znika jedna z uczennic, sprawa zostaje szybko zamieciona pod dywan.

Cichy nie potrafi przejść nad tym do porządku dziennego. Wbrew dyrekcji zaczyna drążyć temat i trafia na ślad sprzed lat – historię dziewczyny, która zniknęła i nigdy nie została odnaleziona. Im głębiej sięga w przeszłość szkoły, tym wyraźniej widzi, że ktoś zrobi wszystko, by prawda nie wyszła na jaw.

Przekonany, że oba zaginięcia się łączą, rozpoczyna własne dochodzenie. Pomaga mu dziennikarz trójmiejskiego brukowca, Karol Zawada – człowiek, który prowadził sprawę zaginięcia sprzed dwudziestu pięciu lat.

***

*Szkoła na Wzgórzu to książka, która przyprawia o ciarki, a jednocześnie ciężko jest oderwać się od lektury. Autor stworzył mroczną historię, z tajemnicą w tle i zaskakującym finałem. Śledztwo prowadzone przez nauczyciela i dziennikarza otwiera serię, która z pewnością nieraz zaskoczy czytelnika.*

Beata Szymańska